ROK III PAŹDZIERNIK 1931 NR. 10

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

O rozwoju nauk ścisłych w starożytnej Grecji.

I. OKRES ACHAJSKI.

Prastarym Hellenom, według najdawniejszych podań, nie zbywało już ani na poczuciu artystycznem, ani na wiadomościach praktycznych, co wskazuje, że w tak zwanym okresie „achajskim“, t. j. więcej niż tysiąc lat przed naszą erą, posiadali oni już długie doświadczenie przeszłości, o której jednak, niestety, historja nic pewnego powiedzieć nie może. Wiadomo tylko, że narody zamieszkujące Grecję, przybyły tam z wielkim prądem owych wędrówek narodów, które od południo-wschodu przez Azję i Europę pociągnęły ku północno-zachodowi, czego dowodem między innemi, powinowactwo języka starogreckiego z mową dawnych Armeńczyków i Persów, oraz ze źródłem wszystkich indo-europejskich języków — sanskrytem.

Jakby tam nie było, faktem jest, że w tym pierwszym najstarszym okresie historycznym narody greckie były już umysłowo tak dalece przygotowane, że mogły przyjąć najprostsze pojęcia przyrodnicze, astronomiczne, a nawet matematyczne. Pasterz liczył swoje trzody, rolnik porównywał swoje plony z plonami sąsiadów; rachuba czasu, różnica pomiędzy dniem i nocą, perjodyczność zjawisk wschodu i zachodu słońca oraz księżyca — wszystko to wywoływało w pierwotnym Greku długotrwałe wrażenia, które jednak u innych narodów pozostawały tylko jako pojęcia, u Greków zaś wyrastały do kształtów pewnych praw i układów czyli systematów.

Tak legendy przedhistorycznej starożytności, jak i świadectwa greckich historyków, jak również wyniki badań nowoczesnych uczonych zgodne są co do tego, że pierwotne naukowe wiadomości Hellenów były zapożyczone: geometryczne od egipskich kapłanów, arytmetyczne od Fenicjan, astronomiczne zaś od najstarszego kulturalnie narodu Mezopotamji, od Babilończyków.

Dzisiaj trudno jest, oczywiście, oznaczyć dokładnie ilość pierwszego materjału naukowego przeniesionego z zewnątrz do kultury helleńskiej; łatwiej możemy uświadomić sobie jakość tego materjału oraz zrozumieć zmiany powstałe w rysach charakterystycznych pojęć naukowych skutkiem ich przeniesienia na grunt grecki.

Rzeczywiście, nauka starożytnego wschodu była w swej ojczyźnie starannie chroniona poza murami świątyń od wszelkich wpływów zewnętrznych. Stanowiąc monopol uprzywilejowanej kasty kapłańskiej i podtrzymując jej znaczenie w narodzie, odgrywała ona drugorzędną, nieraz zakulisową rolę przy odprawianiu obrządków kultu religijnego. Wiadomości naukowe, jakgdyby zabalsamowane, zyskiwały tam nieruchomość bez prawa dalszego rozwoju. Wyłożone w postaci przepisów dogmatycznych sposoby liczenia i pomiarów geometrycznych nie stanowiły jeszcze nauki, gdyż nie dopuszczały dowodzeń, wyłączały wolność rozumowania, a co za tem idzie, i rozwoju.

Te zastygłe w nieruchomych kształtach wiadomości wschodnie, wydostawszy się z ciemnych zaułków świątyń na jasną przestrzeń pod lazurowe niebo Hellady, zaraz w początkach zaczęły się organizować jako nauka obiecująca rozwój nieograniczony. To też charakter nauki wschodniej zmienia się tu zupełnie; swobodny duch grecki, potęgą mitologiczną nieujarzmiony, wzbija się wyżej, dąży do ujawnienia i wyjaśnienia zjawisk naturalnych, szuka przyczyn ich prawidłowości.

Szczególniej w dziedzinie nauk matematycznych kultura helleńska pozostawiła nam hojny spadek. Wiele ważnych faktów naukowych, sposoby badania i wykładu, terminologja i sama nazwa nauki — wszystko to są rezultaty kilkusetletniej działalności wielce uzdolnionego narodu na niewielkiem terytorjum Grecji i jej kolonij.

W pierwszym młodzieńczym okresie Hellenowie posiadają oczywiście tylko nauki stosowane, które jednak musiały być już dość wysoko postawione, gdyż widzimy tam różne rzemiosła, żeglugę, hodowlę zwierząt i t. p. Dążenie ducha greckiego do wyższych ideałów zrodziło z każdej dziedziny nauki czystej podstawy przydatne nawet dla wiedzy współczesnej. I tak hodowla zwierząt domowych, oraz związana z nią troska o nieodzowną dla nich paszę, stworzyła początki botaniki; pasza po grecku „boton, botonaj“. Sztuka wróżenia z lotu ptaków i głosów ptasich dała początek ornitologji, następnie zoologji. Wróżono również z wnętrzności zwierząt ofiarnych, a to stworzyło anatomję, podstawę medycyny. Z rolnictwa powstało mierzenie gruntów i geometrja; żegluga dała początek geografji i zwróciła oczy żeglarzy ku niebiosom i zjawiskom niebieskim. Nauką od najdawniejszych czasów zupełnie samodzielną była medycyna, uprawiana przez specjalnych lekarzy—uczonych, tak zwanych „asklepiadów“, którzy, chociaż zaliczeni do rzemieślników, stali jednak bardzo wysoko w pojęciu swych rodaków. Uderzającym jest czysto świecki charakter tej nauki. Znakomity badacz starożytności, prof. T. Zieliński, zwraca uwagę, że — na tyle ran wzmiankowanych w Iljadzie niema ani jednego zamawiania; zupełna nieobecność wszelkiego pierwiastka magicznego; środki lecznicze wyłącznie racjonalne.

Niedawno odkryto wykopaliska w „pałacu Minosa“ w Knossie, gdzie znaleziono dużą ilość tabliczek gninianych zapisanych pismem klinowem, pochodzących z tego pierwszego okresu. Po bliższem zbadaniu okazuje się, że w okresie tym istniały już dwa rodzaje pisma, którego jednak nie udało się jeszcze odczytać; bliższe badania wykazały, że niektóre znaki na tabliczkach powtarzają się systematycznie, a to naprowadza na myśl, że znane były nawet cyfry.

Co do nauki czystej w tej pierwotnej epoce, to niepodobieństwem jest dokładne oznaczenie jej początku. Wogóle wszelkie pomysły naukowe są zawsze objawem wzrastającego uświadomienia w pojmowaniu zjawisk otaczającej nas przyrody. Jeżeli tedy brać pod uwagę samą tylko znajomość pewnych faktów naukowych, to one bez wątpienia znane już były pierwotnym Grekom z doświadczeń życia codziennego; jeżeli jednak chcemy mówić o metodycznem ujęciu tych faktów i ich pojmowaniu, to w tym okresie doszukać się ich jeszcze nie można. Jedyny dokument historyczny, poezja Homera, interesuje się nauką czystą bardzo mało. Jednak i tutaj mamy dowód, że i wtedy istniało już dążenie do nauki oderwanej — oto w jednem miejscu u Homera syreny kuszą Odyseusza obietnicą „opowiedzenia mu o przyszłości i o tem, co się dzieje na matce ziemi“.

Pojęcia o budowie wszechświata były w tej epoce jeszcze bardzo naiwne, to też wkrótce zostały zaniechane i zamienione na bardziej racjonalne hipotezy, lecz miało to miejsce dopiero w okresie następnym, t. j. w okresie helleńskim, gdy myśl grecka wzniosła się ku rozwiązaniu najwyższych zagadnień naukowych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zygmunt Dąbrowski.

Typowy Prusak.

Były kanclerz niemiecki Bülow, którego pamiętniki ukazały się w 4 tomach, jest interesującym typem niemieckiego arystokraty i polityka okresu największej potęgi Niemiec. Syn również wybitnego dyplomaty Bernhard w dzieciństwie otoczony był angielskiemi i francuskiemi guwernantkami. Jako kawalerzysta bierze udział w wojnie z Francją w r. 1871. Zapatrzony w Bismarka, uważający go za genjusza i największego męża stanu wszystkich czasów i narodów, pozostaje wiernym mu aż do śmierci apostoła krwi i żelaza. A i potem, do końca własnego życia czerpał wskazówki i otuchę z księgi czynów żelaznego kanclerza i z jego punktu widzenia oceniał wypadki. Karjera Bülowa była bardzo urozmaicona: Ateny, Bukareszt, Petersburg, Paryż, Rzym — oto stolice, w których był radcą poselstwa lub ambasadorem. Naj-

chętniej przebywał we Włoszech, gdzie poślubił pannę Minghetti, córkę premjera germanofila. Przyniosła mu ona w posagu willę w Rzymie i Sycylji.

Jest rozmiłowany w autorach klasycznych i oczytany we francuskich.

Ubóstwia Homera i często przytacza pogodne i dowcipne powiedzenia francuskie. Będąc zaciekłym Prusakiem, dążąc do potęgi Niemiec na lądzie i morzu zapomocą zbrojeń, jest przeciwnikiem prowokacyjnej, bezmyślnej, łobuzerskiej maniery Wilhelma i wiele objawów niemieckiego charakteru ocenia krytycznie. Z dumą podkreślając, że Niemcy w dziedzinie filozofji, nauki i sztuki dali światu więcej niż inne narody, konstatuje u nich brak taktu i nieudolność kompletną w dziedzinie polityki. Ustępują jego ziomkowie Francuzom i Anglikom w elegancji, znajomości i poszanowaniu formy, kładąc nacisk na treść, powodem czego bywa ociężałość i niezgrabność. Ujawnia się to zwłaszcza w dziedzinie krasomówstwa. Niemcy nie umieją mówić tak dowcipnie, żywo i interesująco jak Francuzi, bez notatek czy napisanych elaboratów na pulpicie. Nie potrafią dowodzić tak przekonywująco, ze szlachetną prostotą i spokojem jak Anglicy. Wśród Niemców roi się od ociężałych, sztywnych nudziarzy, bardzo ambitnych i nieznośnych. Najniesłuszniej zarzuca swym ziomkom wielokrotnie brak godności narodowej, dumy i samowiedzy. Wiemy, że żaden naród nie posiada takiej zachłanności i nie ujawnia swego zbójeckiego nacjonalizmu w bardziej bestjalski sposób. Dzięki właśnie temu jego siła asymilacyjna jest znacznie słabszą, niż we Francji lub Anglji.

Bo i kogoż w ostatnich czasach zasymilowali Niemcy oprócz polskiego prostactwa, rozproszonego w wielkich miastach i w Nadrenji? Gdy czytamy, że naród niemiecki jest najbardziej ludzkim i pokojowo usposobionym, nie wiemy, czy autor kpi z nas, czy jest całkiem ślepy. Gdzież się widzi studentów, kwiat narodu, z twarzami pociętemi rapierami w dzikich teutońskich pojedynkach. Śmiesznem i niemądrem wydaje się wmawianie w krwiożerczego Wilhelma II i w nas, że on był prawdziwym chrześcijaninem, dobrym, miłującym ludzi i pokój człowiekiem.

Ostatni kajzer był niewątpliwie bożyszczem większości Prusaków, którymi rządził przez lat 30 (1888—1918). Posłuchajmy, co o tym chrześcijaninie opowiada sam Bülow (I, 359). „*Najgorszą i najszkodliwszą mową Wilhelma była ta, którą wygłosił 27 czerwca 1900 r. w Porcie Bremeńskim do wysyłanych przeciw Chinom żołnierzy. Donośnym głosem wzywał żołnierzy: Jeńców nie brać. Litości nie znać! Jak przed tysiącem lat Hunnowie z Attyllą wsławili się tak, że imię ich dotychczas żyje w podaniach i legendach, tak i wy postarajcie się tam o to, by po latach tysiącu żaden Chińczyk nie ważył się krzywo spojrzeć na Niemca*“.

Nim kajzer zakończył te bezeceństwa, przerażony Bülow zażądał od

wszystkich obecnych dziennikarzy, by się nie ważyli podawać do druku tej mowy, aż przez niego zostanie poprawiona. Gdy podczas kolacji przyniesiono dzienniki i Wilhelm II zaczął skwapliwie czytać, rzekł niezadowolony: „Pan skreślił najpiękniejszy nstęp". Bülow zaznaczył, że mowa cesarza wywoła zdziwienie i niezadowolenie u wszystkich chrześcijan. Kajzer butnie odparł, że Mojżesz, Jozua i inni biblijni bohaterzy przemawiali do swych zastępów jeszcze bardziej bezwzględnie. Gdy Bülow zaczął dowodzić, że ta mowa obezwładni przyjaciół i wzmocni wrogów, kajzer zmiękł i prosił Bülowa jako przyjaciela i znakomitego mówcę, by bronił go w parlamencie. Gdy wybuchła wojna światowa, Francuzi, Anglicy i Amerykanie przypomnieli światu tę mowę i w miljonach druków skutecznie przekonywali ludzkość, że naród, który wydał w XVIII w. Goethego i Kanta, obecnie stał się hordą Hunnów, morderców bez czci i sumienia. Bülow zdumiony jest upadkiem powojennych Niemiec i nie rozumie, jak to mogło się stać. Według nas — nic łatwiejszego do zrozumienia: praca nad budową potęgi Niemiec, w której ten kanclerz brał udział od r. 1900 do 1909, była nieludzką i bezbożną, chociaż i on, i Wilhelm, i niemal każdy działacz wzywali imienia Bożego, i każdy żołnierz miał na klamrze pasa słowa „Bóg z nami". O Niemcach powiedziano, że oni mogą wszystko zrozumieć, lecz najważniejszych i zarazem najprostszych rzeczy odczuć nie potrafią. To nie jest prawdą, gdyż Niemcy nie rozumieją podstawowych praw moralnych, które są tak samo niezłomne jak prawa fizyczne.

Bülow, pomimo że uważany był za najprzedniejszy umysł i, niewątpliwe, był bardzo chciwym wiedzy i wykształconym — naturalnie — w granicach dostępnych umysłowości niemieckiej, jednak w strukturze swej duszy nie różnił się od niemieckiego kaprala. On często cytuje poetów i świętych np. św. Pawła: „Rzeczy materjalne mają byt chwilowy; rzeczy wieczne są niedostępne dla oka" — rozpoczyna swe kanclerstwo w imię Boże, a jednak uważa za podstawowe zadanie swej działalności sprawę łotrowską i potworną — tępienie narodu polskiego i jego duszy. Uważał siebie za najmądrzejszego i najlepszego z Niemców, zapewnał, że jest czcicielem Homera, Gosthego i Schillera, a jednak jak 99 proc. jego ziomków nie dorósł do zrozumienia prostej i wielkiej mądrości, zawartej w słowach Schillera: „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht". Dzieje są sądem dla wszystkich.

Nawet po katastrofie nie przejrzał Niemiec bez serca, bez mądrości i prostoty ducha. Z bezczelną pewnością twierdzi w kilka lat po wojnie, że polityka niemiecka względem Polaków była całkiem słuszną, że błędy najzgubniejsze polegają na zaniechaniu tego stanowiska i utworzeniu Polski (Bezelerowskiej 1916 r.).

P. Żukowski

Mało znany renegat.

Zapewne nie wszyscy czytelnicy nasi wiedzą, że książę Radolin, urodzony hr. Radoliński, ambasador niemiecki w Petersburgu w końcu XIX w., był Polakiem, który się wyparł swej ojczyzny i straszliwie nas znienawidził. Na str. 95. w t. I Pamiętników b. kanclerza Bülowa znajdujemy o tym osobniku ciekawe dane. „Radolin był czystej krwi Polakiem. Matka jego pochodziła z tego samego rodu, co i ojciec. Jako mądra kobieta, zapytała 17 letniego syna, kim chce być: zostać Polakiem czy stać się Niemcem. Nie wolno mu jednak naśladować nietoperza z bajki, który nie wiedział, czy należy do ptaków czy do ssaków. Gdy się zdecyduje, mówiła matka, powinien zostać prawdziwym Polakiem lub całkowitym Niemcem. Młodociany Hugo postanowił być Niemcem i pozostał nim do końca życia. Natomiast jego druga żona hr. Oppersdorf, córka Francuzki z domu Tlleyrand, z biegiem czasu bardziej zatracała swą niewierność i stawała się napół Polką, napół Francuzką.

Nie bardzo to mię dziwi, ponieważ uczucie narodowe u Niemców jest bardzo słabe. Po pogromie Niemiec brat jej hr. Oppersdorf został regenatem i przeszedł do Polaków. Gdy Hugo Radolin w l. 1880 był posłem pruskim w Wejmarze, rosyjska baronowa Meyendorffowa zapytała go, czy on jako Polak nie wybiera się słuchać Oratorjum, które skomponował Liszt ku czci patrona Polski św. Stanisława. Radolina odrzekł opryskliwie: „Proszę pamiętać, że brzydzę się wszystkiem, co jest polskie".

Cesarz Fryderyk III mianował go marszałkiem dworu (Ober-Hof-un Hausmarschall) i nadał mu tytuł księcia Radolina. Uszczęśliwiony tą zmianą hr. Radoliński temi słowy dziękował monarsze: „Składam podziękowanie W. C. Mości przedewszystkiem za to, że raczyła mnie uwolnić od tego przeklętego „ski". Radolin był bardzo zręcznym, układnym kawalerem, giętkim i ustępliwym przy dworze, za co Bismark nazywał go „Polakiem o miękkim karku". Jako dyplomata był zbyt wrażliwym i zaczepnym. W Petersburgu kłócił się nietylko z wpływowymi dworakami, np. mistrzem ceremonji ks. Dołgorukim, lecz nawet z W. Księżniczką, żoną w. ks. Włodzimierza: Pod czas pobytu mego z Wilhelmem II w Petersburgu w r. 1897 dowcipna hrabina Kleinmichelowa zapytała mnie: „Poco przysłaliście nam Polaka, który ma wszystkie wady Niemca"? Niemcy uważani są zagranicą za niegrzecznych".

Tyle Bülow o jednym z polskich łotrów, którzy czekają na swego historyka. O polskich zdrajcach XVIII w. zebrali niemało danych Smoleński i Starczewski, lecz o jakże licznych rzeszach naszych Kainów XIX i XX w. nie posiadamy jeszcze żadnej pracy. Napisanie takiej pracy może być męką moralną dla historyka, ale jest koniecznością, jako jeden ze sposobów zwalczania ducha kainowego, który pozostał z lat niewoli. Bülow podnosi wartość

wykształcenia klasycznego i popisuje się często gęsto cytatami ze starożytnych i swem zamiłowaniem w Homerze. Jak większość jego ziomków atoli, tak i on sam, pozostaje moralnie czemś niższem od Hottentoty, skoro nazywa mądrą tę matkę, która pcha syna swego do szeregów zdrajców i katów swego narodu. Gdyby tak postąpiła matka Hottentotka, to by ją ukamieniowano za tak potworną podłość. No... ale to są pojęcia i obyczaje dzikich ludów. Tu zaś mamy do czynienia z przyjacielem Wilhelma II, kierownikiem polityki zagranicznej Niemiec w ciągu lat 12... Wiemy, jak wyszedł naród niemiecki na podobnych wychowawcach. *P. Ganżyński.*

O współczesnej Bułgarji.

W roku bieżącym upływa 53 lata od utworzenia nowej Bułgarji pokojem w San Stefano i kongresem berlińskim (1878 r.) i 23 lata od ogłoszenia niezawisłości państwowej, t. j. od chwili, w której rządzący krajem ks. Ferdynand Koburski zrzucił lenną zawisłość od Turcji i ogłosił się „carem Bułgarów" (1908). Tytuł ten, nawiązujący do tradycji średniowiecznej monarchji bułgarskiej, symbolizował niejako dążność do zjednoczenia wszystkich ziem przez Bułgarów zamieszkanych.

Dążność do tego ideału narodowego spowodowała w r. 1912 przymierze z Serbją, Grecją i Czarnogórą i wspólną kampanję przeciw Turcji, władającej wówczas jeszcze ogromnym obszarem, zamieszkanym przez Słowian. Wojska bułgarskie okryły się chwałą na polach zwycięskich bitew pod Lüle i Burgas i zdobyły wielkie obszary, zamieszkane przez ludność bułgarską. Niestety, o podział zdobytych terytorjów wybuchł zatarg z sojusznikami, który doprowadził do drugiej wojny bałkańskiej. Wybuchła ona w czerwcu 1913 r. i skończyła się klęską wycieńczonej pierwszą wojną Bułgarji w nierównej walce przeciw Serbji, Czarnogórzu, Grecji i Rumunji. Pokój, zawarty w Bukareszcie, przyniósł narodowi rozczarowanie. Część ziem, które miały przypaść Bułgarji, dostała się państwom zwycięskim[1]). W każdym razie Bułgarja powiększyła swe terytorjum o 15000 km. kw. i zyskała dostęp do morza Egejskiego. Car Ferdynad ulegając namowom niemieckim popchnął Bułgarję w r. 1915 znów do wojny, wbrew woli narodu, po stronie państw centralnych. Klęska tych ostatnich, przyniosła klęskę i Bułgarji, która pokojem w Neuilly sur Seine w list. 1919 r. została okrojona (ma obecnie 103 tysiące km. kw. i około 6 miljonów ludności), tracąc niezbędny dla siebie dostęp do morza Egejskiego. Car Ferdynand abdykował, nastąpił po nim syn jego, obecnie panujący Borys III.

---

[1]) Po wojnie tej wielu Bułgarów dobrowolnie wyemigrowało z Tracji i Macedonji, szukając schronienia w państwie bułgarskiem.

W powojennej Bułgarji władzę uchwyciły elementy radykalne, głównie chłopskie pod wodzą zdolnego polityka Aleksandra Stambolijskiego. Rządy jego zwolna jednak przemieniały się w anarchję, szerzyła się propaganda komunistyczna. Przed anarchją uratowały kraj elementy umiarkowane, które połączone w koalicję p. n. „Demokraticzeski sgowor" (porozumienie demokratyczne) obaliły w 1923 r. rządy Stambolijskiego. Ruch chłopski osłabł, w kraju zapanował ład i spokój.

Pod rządami popularnego cara Borysa III. Bułgarja zabliźnia powoli rany, zadane tylu wojnami, których skutki: ciężkie położenie ekonomiczne i trudności w polityce tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej będą ciążyć nad nią przez długie jeszcze lata. Dążność do zjednoczenia wszystkich ziem przez Bułgarów zamieszkałych nie wygasła[1]). Spełniając lojalnie ciężkie zobowiązania wynikające z traktatów pokojowych i utrzymując z wszystkiemi niemal państwami przyjazne stosunki, Bułgarja żyje jednak wciąż nadzieją rewizji traktatu i odzyskania ziem utraconych.

Świadczy to o niezmożonej żywotności narodu, który mimo wielowiekowej niewoli, mimo niezliczonych gwałtów i prześladowań nie zatracił swej narodowości, religji, obyczajów, który w pięćdziesięciu kilku niespełna latach potrafił ze zdumiewającą szybkością odrodzić się, otrząsnąć z wielowiekowego zastoju kulturalnego i mimo najgorszych warunków postawić swą nową kulturę na płaszczyźnie niezbyt dalekiej od zachodnio-europejskich.

Sofja 1931. *A. Hłasko Pawlicowa.*

Anglik o współczesnych Niemczech

I.

Znany ekonomista prof. Arnold Toynbee odniósł niepokojące wrażenia z pobytu w Niemczech w lecie b. r. Według niego nadprodukcja inteligencji jest tak olbrzymia, że tylko znikoma ilość młodzieży niemieckiej ma szance otrzymania pracy po ukończeniu studjów. Przyczynia się do tego jak najdalej posunięta racjonalizacja.Gdzie dawniej miało pracę 3 pracowników lub lekarzy, obecnie daje sobie radę jeden; na fabrykach jeden inżynier zastępuje dziesięciu. Pomimo to nawet najuboższe warstwy wysyłają swe dzieci do uniwersytetów, gdyż czesne jest bardzo niskie. Młodzież z dyplomami, lecz bez pracy, zapełnia szeregi hitlerowców lub komunistów. Starsi czarno patrzą w przyszłość i uważają młodzież za skłonną do przewrotu. „Obecnie młodzi chcą przewrotu pod wodzą Hitlera. Czeka nas tragiczna zima. Nie obejdzie się bez przewrotu. Wówczas zginiemy wszyscy. Ci, co zwyciężą pod znakiem Hitlera,

---

[1]) Językiem bułgarskim mówi dziś około 7-mio miljonowy naród, zamieszkujący zwartą masą królestwo Bułgarji, Starą i Nową Dobrudżę w Rumunji, centralną i północną Macedonję w Jugosławji, południ. i wsch. Macedonję w Grecji i wschodnią Trację w Turcji.

zostaną wkrótce komunistami, lub ustąpią miejsca komunistom, którzy zbiorą owoce zwycęstwa". Stan średni zubożał. Nikt nie jest pewien swego stanowiska. Nikt nie posiada oszczędności. Żyją ludzie z dnia na dzień. Żadnych planów życiowych na dalszą metę układać nie można. Wskutek tego zakres zainteresowań zacieśnił się ogromnie. Nikogo nie obchodzi konferencja rozbrojeniowa, która ma się odbyć w lutym 1932 r. To są sprawy zbyt odległe, ludzie są całkowicie zaprzątnięci biedą, swemi kłopotami dzisiejszemi i jutrzejszemi. Ruch uliczny w Berlinie znacznie mniejszy niż przed 3 laty; dużo żebraków; policji jest również znacznie więcej. Da się wyczuwać wrogie ku niej usposobienie ludności. W Niemczech policja nierównie więcej krępuje życie osób prywatnych, niż we Włoszech Mussoliniego. Gdy się przybywa z Włoch do Niemiec, odrazu się wyczuwa, że tam życie płynie normalnie, tu zaś lada chwila mogą nastąpić burzliwe wypadki. Bezrobotna młodzież przypomina rozjuszone zwierzęta, rzucające się na każdego, który się do nich zbliży. Nienawidzą Żydów, cudzoziemców, kapitalistów. Rzeczą tragikomiczną jest, że hitlerowcy, popierani przez pewne grupy kapitalistów, zamierzają po dojściu do władzy, konfiskować kapitały „wyzyskiwaczy", w pierwszej linji Żydów. Ale, gdzie jest granica tych zapędów? Niemcy są nad przepaścią. Należy ich ratować we własnym naszym interesie." Tak kończy Anglik swe spostrzeżenia i mimochodem zaznacza, że w Berlinie pomimo wszystko panuje na ulicach większa czystość, niż w Paryżu i Londynie, a jedynym człowiekiem, który ma autorytet i którego nawoływania do poświęceń są najskuteczniejsze — jest kanclerz Bruening. Mówią o nim, że $^3/_4$ jego istoty są święte, a $^1/_4$ stanowi pruska domieszka. Anglik myśli, że taka mieszanina jest najlepszem lekarstwem dla chorych Niemiec, Polak natomiast przypomni sobie przysłowie o tej łyżce dziegciu, która psuje beczkę miodu... *P. Ganżyński.*

Z pamiętników rosyjskiego oficera-Polaka*).

Na leżach zimowych rozlokowałem się w pobliskim majątku magnata hr. Bobrińskiego i miałem piękne mieszkanie. Musiałem ćwiczyć 1000 rekrutów, którym działo się dobrze, gdyż chłopi byli bardzo zamożni, chętnie utrzymywali żołnierzy, nie żądając zapłaty. Wskutek tego co miesiąc 16 kg. mąki, wydawanej przez rząd na utrzymanie żołnierza, sprzedawałem po dobrych cenach i według powszechnego zwyczaju pieniądze zabierałem sobie.

Rozmyślałem nieraz nad zmiennością losu. Żałowałem ogromnie zacnego i dzielnego kapitana, który wskutek głupiego przypadku podczas rewizji generalskiej zwichnął sobie karjerę. Żaden z przełożonych nie wystąpił w jego obronie, chociaż wszyscy znali jego wartość. Tak dalece tchórzyli przed generałem. Dziękowałem Bogu, że nie byłem obarczony rodziną i że mogłem odważnie oczekiwać podobnych ciosów. Życie mi płynęło jednostajnie, na olbrzymich obszarach dóbr magnackich nie było ziemian. Poznałem kilku cudzoziemców, pracujących w cukrowni hrabiego, oraz zarządzającego dobrami. Byli to ludzie inteligentni i sympatyczni. Zaopatrzony byłem w książki i czasopisma i zagustowałem w czytaniu.

Latem 1844 byłem w Tule, której po pożarze nie poznałem — tak wypiękniało i roz-

*) Patrz Nr. 7.

szerzyło się to miasto. Fabryka broni wyglądała jak całe miasteczko. Maszyny były tam wprawiane w ruch wodą. Oglądałem olbrzymie kanały, tamy i szluzy.

W r. 1845 zostałem mianowany sztabs-kapitanem.

W r. 1847 spędziłem lato na wsi, mając mało pracy z dobrze wyszkolonymi żołnierzami. Mieszkałem u b. zamożnego i mądrego chłopa, który miał porządny dom czteropokojowy i wspaniały ogród z setką ulów, owocowemi drzewami, kwiatami i ładnym domeczkiem z balkonikiem. W pobliżu wioski był las, w którym często spacerowałem, zbierałem jagody i grzyby, marzyłem i wspominałem lata dziecinne. Inne bataljony mego pułku przeżywały tymczasem męczarnie w Moskwie. Rozlokowane w odległości 20 klm. od Moskwy musiały codziennie maszerować do tej Stolicy i wracać do swych odległych kwater. Rozpoczynały marsz po kolacji, szły nocą, o świcie odpoczywały trochę w gaju podmiejskim, poczem po przybyciu na plac Chodyński odbywały ćwiczenia do godz. 11. z ciężkim ładunkiem. Po ćwiczeniach, trwających co najmniej 5 godzin, zamiast odpoczynku żołnierze wracali na obiad o 20 klm., spożywali go o godz. 5 wiecz., a o godz. 9-ej znów maszerowali do Moskwy.

Tego piekła nie mogli wytrzymać słabsi i odeszli w krainę praojców, inni ciężko odchorowali. W r. 1848 lato spędziliśmy w Moskwie, gdzie srożyła się cholera. Były to okropne czasy. Chociaż zachowywałem całkowity spokój, jednak dotychczas pamiętam te okropności. Bataljon mój pełnił często służbę na odwachu w Kremlu. Według ówczesnych przepisów żołnierze powinni byli oddawać honory każdej procesji pogrzebowej. Ponieważ droga nasza prowadziła koło cmentarza, wypadło nieraz spotkać przeszło 50 nieboszczyków i tyleż razy zatrzymać oddział, który stawał na baczność. Celem uniknięcia takiej straty czasu, prowadziłem żołnierzy bocznemi zaułkami, lecz wszędzie napotykaliśmy kondukty żałobne, wszędzie srożyła się śmierć.

Na wiosnę 1849 zaczęły się szerzyć niepokojące wiadomości o powstaniu węgierskiem i o możliwości wojny. Wkrótce ogłoszono manifest carski o nadzwyczajnym poborze rekruta. Pewnego dnia podczas Wielkanocy był bal w pałacu naczelnika chłopów w dobrach państwowych.

Tańczyłem tam, gdy nadeszła sztafeta„ zawiadamiająca mnie, że feldjeger carski przywiózł dla naszego pułku rozkaz niezwłocznego wymarszu ku granicy austrjackiej. Bataljon mój po upływie 24 godzin od chwili otrzymania tego rozkazu miał przybyć do sztabu pułku w m. Bielewie w odległości 50 klm. Byłem wówczas kapitanem. Przypomniałem sobie przysłowie: „Pęknij, lecz spełnij rozkaz". Wysłałem do wszystkich oficerów rozkazy, by niezwłocznie wyruszyli ze swemi oddziałami do sztabu. Mój wierny Hryćko spakował manatki, przygotował powóz. Żegnaliśmy się serdecznie z mieszkańcami i mocno podchmieleni wyruszyliśmy nocą. Zatrzymałem się na przedmieściu Bielewa i czekałem przybycia wszystkich oddziałów, które szły forsownemi marszami. Gdy one nadeszły, kazałem z muzyką i śpiewami ruszyć do miasta. Jechałem konno na ich czele. Na placu spotkał nas gen. Romanowicz, niezmiernie zadowolony z dzielności zmęczonych daleką drogą żołnierzy. Usłyszałem od niego niemało komplementów. Wściekał się natomiast na naczelników innych spóźnionych bataljonów i groził im sądem. Generał był w kłopocie, gdyż otrzymał rozkaz carski przygotowania brygady do wymarszu na Węgry w ciągu 24 godzin. Rozkaz o wymarszu miał przywieźć feldjeger. Wskutek tego zapanował chaos i rejwach nie do opisania. Nie załatwiono mnóstwa spraw w oczekiwaniu lada chwila mającego się zjawić wysłańca carskiego.

Żołnierzom rozkazano wszystkie własne rzeczy pozostawić i mieć w tornistrach tylko rządowe. Cały pułk należało zaopatrzyć na rok w płótno na koszule, skórę na buty i t. p. Ponieważ żołnierze mieli dużo własnego ubrania, którego zmuszeni byli się pozbyć, utworzył się prawdziwy jarmark. Kilka tysięcy żołnierzy wyprzedawało swój ekwipunek mieszczanom i okolicznym chłopom za bezcen. Nową czerwoną (kumaczową) koszulę sprzedawano za 10 kopiejek asygnacjami (3 kop. srebrem), szynel lub prawie nowy garnitur mundurowy

za 20 kop. i t. p. Po zmarnowaniu w ten sposób swego mienia żołnierze ruszali do szynków, w których rozpoczynało się ohydne pijaństwo, przekleństwa, bójki, trwające bez przerwy. Na szczęście żołnierze moi pozostawili swe rzeczy w m. Odojewie, zostali rozmieszczeni na wsi i nie ulegli rozwydrzeniu. Przygotowywali się do wymarszu i przyszłych walk. Dotychczas nie rozumiem, po co nas tak alarmowano. W Bielewie czekaliśmy na feldjegra 20 dni w demoralizującej bezczynności. Pijaństwo było horrendalne. W oczekiwaniu walk i możliwej śmierci żołnierze pili na umór dla dodania sobie odwagi. Patrjotyzm kupców i ziemian ujawniał się w częstowaniu oficerów, którym wydawano luksusowe uczty; odbywały się na nich nieprawdopodobne bakchanalje. Oficerowie otrzymali ryczałtem pobory za pół roku. W przewidywaniu możliwej śmierci, wogóle nie skłonni do oszczędności i poczuwając się do obowiązku zrewanżowania się, urządzali uczty dla szlachty i kupców. Miasto drżało od krzyków, śpiewów, muzyki. W wyniku o wszystkich oficerach można było powiedzieć, że byli goli jak sokoli. Odwagi natomiast zdobyli moc. Szczęście Węgrów, że wówczas nie wpadli nam w ręce. Wreszcie przybył feldjeger i ruszyliśmy na wojnę. Poprzednio musieliśmy pożegnać się z gościnnem miastem. Wówczas orgjastyka dosięgła najwyższego szczytu. Nietylko oficerowie, lecz i żołnierze ledwo szli, prawie nieprzytomni od alkoholu. Naczelnik policji rozkazał chłopom towarzyszyć nam z wozami i podnosić z ziemi tych pijanych żołnierzy, którzy padali i nie byli w stanie iść. Nieprzyjaciela nie spotkaliśmy, walk nie toczyliśmy, krew nie płynęła, a jednak straty mieliśmy znaczne...

Gdyśmy wstąpili do gub. Czernihowskiej, w której wszędzie sprzedawano wódkę, nasi żołnierze rzucili się z taką chciwością na ten trunek, że mnóstwo zatruło się alkoholem i pomarło; taki był los nawet oficerów; dwaj z nich również zapłacili życiem za pijaństwo. Pochód odbywał się powoli. Słyszeliśmy, że powstanie węgierskie zostało stłumione. Przypuszczaliśmy, że dalej nie pójdziemy. Rzeczywiście zatrzymano nas w gub. Czernihowskiej. W r. 1850 wróciliśmy do swych kwater. Żołnierze moi byli zachwyceni, gdy wszystkie pozostawione u gospodarzy-chłopów swe prywatne manatki znaleźli w całości. Byłem porządnym służbistą, a jednak nie ominął mnie areszt, prawda — po raz pierwszy i ostatni w życiu i to z powodu... kaszy. Przybył kiedyś gen. Timofiejew i udał się do kuchni; skosztował kaszy hreczanej i wybuchnął straszliwym gniewem za to, że owa potrawa była sporządzona nie według jego przepisów. Zbeształ pułkownika, a 4 oficerów, w tej liczbie mnie, posłał do aresztu. Po ukończeniu kilkudniowej inspekcji, przybył na odwach, wywołał nas i długo nas strofował, poczem puścił na wolność, nie zapisując tego aresztu do aktów. Ten generał miał ponownie przybyć do nas na inspekcję w sierpniu 1850 r. Generał brygady Romanowicz, bardzo dokuczliwy względem nas, okazał się wielkim tchórzem wobec Timofiejewa. W oczekiwaniu jego przybycia dręczył nas musztrą tak, że padaliśmy ze znużenia. Zachowywał się, jakgdyby oczekiwał sądu ostatecznego. Jeden z dowódców bataljonowych, pijaczyna, został przez Romanowicza wydalony ze służby. Inspekcja wypadła pomyślnie, generał był w dobrym humorze, pułk jaśniał starannie odczyszczonemi guzikami i karabinami. Zostałem pochwalony. Przypomniano generałowi, że już mię poznał w r. 1843 i był wówczas ze mnie zadowolony; odpowiedział, że nigdy się nie myli. W tym czasie byłem już majorem. Przełożony mój gen. Romanowicz został przeniesiony do Orenburga. Na pożegnalnym obiedzie wygłaszaliśmy różne toasty. Byłem podchmielony, wyrwałem się też z mówką; powiedziałem: „Ekscelencjo! Zawsze ceniłem dobry stosunek Pana ku mnie. Proszę o mnie nie zapominać, gdyż będę uważał pracę z Panem za wyjątkowe szczęście". Słowa te wypowiedziane były bezmyślnie, wbrew mym przekonaniom, pod wpływem podnieconej winem atmosfery. Generała tego nie lubiłem, cieszyliśmy się, że nas opuszcza. Niebacznie wyrzeczona mówka miała decydujący wpływ na dalszy bieg mego życia. Tymczasem niespodzianie zostałem przeniesiony do Rjażskiego pułku w Czernihowie. Gdy przybyłem do sali sztandarowej w domu naczelnika pułku pułkownika Lewickiego, zastałem już dużo oficerów. Okazało się,

że przybyłem ostatnim. Lewicki, ponury, olbrzymi, gruby starzec, spojrzał na mnie srogiem okiem i rzekł: „Panu majorowi zapewne nie przypada do gustu nasz pułk. Czekaliśmy na Pana pół roku, a Pan dotychczas nie pofatygował się zamówić sobie munduru naszego pułku“. Byłem bardzo poruszony takiem przyjęciem wobec licznych oficerów. Odrzekłem śmiało, chociaż z należnym szacunkiem: „Myślę, że na me sympatje lub antypatje do pułku nikt nie będzie zwracał uwagi i że moja praca zostanie należycie oceniona. Pan, panie pułkowniku, został przecie urzędowo zawiadomiony o przyczynie mego spóźnienia“. Odczuwałem stale niechęć pułkownika, lecz nie zdradzałem żadnej obawy, zachowywałem się dumnie; natomiast wykonywałem obowiązki niezmiernie skrupulatnie. W tym czasie dużo hałasu narobiła ucieczka ze szpitala 9 więźniów. W szpitalu wartę pełnili nasi żołnierze. W mieście ludność zaczęła krytykować porządki w pułku. Gubernator polecił przeprowadzenie śledztwa starszemu urzędnikowi do poruczeń specjalnej wagi. Pułk miał wydelegować do tej komisji swego przedstawiciela. D. c. n.

Wojna chłopska w Niemczech 1525 r.*)

TAJEMNA NARADA.

Cisza i mrok zalegały Weinsberg. Tylko przed bramami miejskiemi płonęły ogniska warty. W młynie koło Dolnej Bramy było gwarno. Tam zwołał chłopów na naradę Jakób Rohrbach. Na powale, akurat nad izbą młynarz ukrył hrabiowskiego pachołka, któremu udało się wymknąć z miasta. To, co on teraz słyszał i widział, mroziło mu krew w żyłach. „Czy mamy czekać, aż rycerz Florjan puści na wolność wszystkich jeńców“? — wołał gniewnie Jakób i walnął w stół trzonem noża. Gdy jedni nieśmiało zaznaczyli, że Florjan miał rację i należy go słuchać, rudobrody jakiś olbrzym splunął głośno i krzyknął: „Hańba! Florjan jest tchórzem. Z tchórzostwa przecie przeszedł do nas tak samo jak Goetz von Berlichingen“. Prawda, ozwały się głosy, obaj się obawiali, że puścimy im na dachy czerwonego kogutka“. Wtem z kąta podniósł się ogromny chłop i zagrzmiał, pokazując kolosalne pięści. „Spiorę tego psa, co szczeka na szlachetnego naszego przyjaciela. Wszak on ze swym czarnym oddziałem broni naszej sprawiedliwej sprawy“. Zapanowało milczenie, lecz Jakób odrzeknął: „Czego się sadzisz na rycerza. Szlachcic zawsze pozostanie szlachcicem i nigdy nie będzie przyjacielem chłopów.“ — „Nieprawda“! odparł tamten. Florjan chce być takim jak my. On mówi, że w Niemczech wszyscy powinni być równymi i zależeć tylko od cesarza. Nie powinno być ani zamków, ani twierdz“. Jakób wybuchnął śmiechem i rzucił urągliwe pytanie: „Przyjaciele, czy myślicie, że Florjan porzuci swój zamek i zamieszka w chłopskiej chacie? Cha, cha cha! Do wszystkich djabłów z nim. Nasi jeńcy muszą umrzeć“. Obrońca Florjana ruszył ku wyjściu ze słowami: „W takim razie nie mam z wami nic wspólnego“. Raptem zastąpiła mu drogę groźna kobieta, olbrzymiej postawy, z czarnemi włosami, w czarnem ubraniu. Jej głos dźwięczał potężnie; mówiła: „Bądźcie zgodni! Póki istnieją rycerze i magnaci, niema wolności. Niech nikt nie ujdzie cały, nie szczędźcie nawet pachołków. Gdy krew będzie płynęła jak woda, dopiero wówczas będziecie wolni. Przebijajcie wrogów dzidami“. Podniosła rękę, jakby udzielając zebranym strasznego błogosławieństwa. „Masz rację, czarna wiedźmo“ — podziękował jej z uśmiechem Jakób, poczem zakreślił kredą koło na stole, wbił w nie swój nóż i krzyknął: „O wschodzie słońca muszą zginąć wszyscy jeńcy. Kto zgadza się na to, niech wbije nóż w to koło“. Po chwili milczenia, wszyscy, z wyjątkiem owego obrońcy, ruszyli z nożami do stołu.

„Związać zdrajcę“, wrzasnął herszt. Wybuchła gwałtowna walka; opornego związano, nóż jego utkwił obok innych w strasznem kole. Gdy chłopi się wynieśli, pachołek jęcząc z przerażenia, padł na kolana i błagał wszystkich świętych o ratunek.

---

*) Patrz Nr. 9.

OBLĘŻENIE WEINSBERGA.

Osypane kwieciem drzewa owocowe otaczały stary gród Weinsberg, kryjący się za dumnemi murami. Opodal na stromem wzgórzu dumnie sterczał zamek oddzielony od miasta doliną, pełną sadów kwitnących. Pomimo że był śliczny poranek i dzwony nawoływały na mszę wielkanocną, smutek panował w mieście, gdyż w wielki piątek zjawili się wysłańcy od chłopstwa i zażądali przystąpienia do ich związku. Hr. Helfenstein, obrońca miasta długo zwodził ich i przeciągał rozmowy, wkońcu kazał uśmiercić. Mieszkańcy, podążając do kościoła, rozmawiali tylko o tem wydarzeniu i w trwodze oczekiwali niechybnej zemsty. Kazania słuchano niedbale, przyglądano się rycerzom, którzy zjawili się w kościele w pancerzach. Ksiądz odprawiał mszę nerwowo, pospiesznie i nie zdołał jeszcze skończyć, gdy po mieście gruchnęła wieść: „Chłopi idą!" Kościół opustoszał w jednej chwili, mieszczanie zajęli wyznaczone każdemu miejsce na murze miejskim, skąd ujrzano pagórki, czerniejące od chłopstwa. Hrabia nie mógł już wrócić do swego zamku, w którym pozostawił żonę i dziecko pod opieką kilku rycerzy. Wydawało się zresztą niemożliwem, by niezgrabni chłopi wdarli się na stromą skałę. Hrabia na czele 70 rycerzy objął kierownictwo obrony miasta. Gdy mieszczanie ujrzeli, że chłopi maszerują w porządnych szeregach, mają liczne armaty i tarany, męstwo zaczęło ich opuszczać.

Hrabia dodawał otuchy, zapewniał, że ze Sztutgartu nadciąga wojsko na pomoc, jednak liczne barwne sztandary, powiewające nad masą groźnych przeciwników, napełniały przerażeniem mieszkańców Weinsberga. Dano znać o przybyciu dwóch wysłańców, którzy zażądali poddania się miasta. Zamiast odpowiedzi jakiś hardy rycerz kazał strzelać. Jeden z parlamentarjuszów upadł ranny, lecz wnet się podniósł i obaj umknęli. Towarzyszyły im przekleństwa i pogardliwy śmiech rycerzy: „Patrzcie, jakie zajęcze nogi mają ci tchórze". Szturm rozpoczął się z 3 stron. „Śmierć naszym dręczycielom, którzy chłepczą krew naszą! Zemsta za naszą poniewierkę" — powietrze drżało od tych strasznych krzyków, wylatujących z piersi tysięcy wściekłych wrogów. Od tych krzyków krew ścięła się w żyłach mieszczan. Rycerze również zrozumieli, że mają do czynienia nie z bezładną kupą tałałajstwa, jak na początku wojny, gdy chłopi nieraz skierowywali przeciw sobie samym zdobyte na miastach armaty. Teraz szli w ordynku, mieli doświadczonych wodzów, tłukli bramy taranami, bombardowali bombami, które wzniecały pożary. Hrabia niestrudzenie zachęcał do wytrwałości, zjawiał się wszędzie i wołał: „Zrzucajcie głazy na tych psów, lejcie im na głowy wrzący olej"! Raptem giermek hrabiego krzyknął straszliwie i wskazując na odległy zamek, jęknął: „Zamek podpalony, moja matka zginie". Nogi hrabiemu się zachwiały, gdy ujrzał swój zamek, spowity w złowrogich dymach.

Osłupiali z przerażenia mieszczanie nie mogli zrozumieć, w jaki sposób chłopi tak szybko zdobyli zamek, uważany za niezdobyty. Ogień szybko zwyciężał, już wysokie płomienie zaczęły przebijać czarną oponę dymów. Wkrótce ujrzano na najwyższej burcie dwie olbrzymie czarne chorągwie, które jak skrzydła śmierci obejmowały gniazdo rycerskie w swe posiadanie. Hrabia jęknął i drżąc oparł się o słup; w oczach mu ściemniało. Oblegający wydali potężny okrzyk zachwytu. „Patrzcie, jak pięknie puszcza na wszystkie wiatry zamek hrabiowski nasz dzielny Florjan". To imię wróciło hrabiemu przytomność. „Co"?! Rycerz Florjan von Geyersberg, z którym polowałem i ucztowałem jak z uczciwym szlachcicem frankońskim, teraz na czele chłopów zdobywa mój zamek"! Oczy mu błysnęły dzikim gniewem, głos jak trąba bojowa nawoływał do walki nieubłaganej. Raptem po ulicach przemknęły zmieszane krzyki, pełne trwogi; podawano sobie wieść okropną, że dolna brama już rozrąbana toporami. Murów dopadł tłum oszalałych kobiet, domagających się poddania miasta. Zalane łzami klękały przed hrabią i błagały, by wydał wrogom klucze miejskie. Mężowie i bracia zaczęli wymagać tego samego, a nawet gwałtem ściągali z murów rycerzy i pachołków. „Zaprzestańcie walki, wołali, jeśli nie chcecie, byśmy was zepchnęli z murów".

Obrońcy ustąpili. Chłopi obiecali nie tknąć mieszczan, lecz grozili śmiercią tym, którzy noszą buty z ostrogami. Jeszcze raz spróbował hrabia dodać tchórzom otuchy, — nadaremnie. Zmykali do domów, wysypując na ziemię proch z rogowych prochownic. Rycerze pobiegli ku swym koniom i zamierzali wypaść przez którąś z bram, lecz było już za późno.

Chłopi jednocześnie wpadli ze czterech stron do miasta i rozpoczęli polowanie na rycerzy, którzy schronili się w kościele; jedni ukryli się w lochach, skąd zostali wywleczeni i uśmierceni, inni uciekli na dzwonnicę. „A więc mamy całe gniazdo tych ptaszków", wrzasnęli chłopi. „Zatłuc wszystkich"! Rozpoczęła się wściekła walka na schodach, prowadzących na szczyt dzwonnicy; schwytanych i ranionych rycerzy wyrzucano przez okna na podwórze kościelne. Gdy pozostała garstka na samym szczycie, wódz chłopów kazał darować im życie i sprowadzić na dziedziniec, gdzie ich powiązano sznurami. Wśród jeńców był i hrabia. Po krwawem polowaniu rozpoczął się rabunek, porozbijano skarbonki i skrzynie, połamano naczynia kościelne i relikwiarze. Przetrząśnięto od góry do dołu domostwa bogatych mieszczan. Najbogatszą zdobycz znaleziono w zamku; przy podziale złota i srebra doszło tam do krwawych bójek. Rycerz Florjan, wódz chłopów, powstrzymywał ich przed zbytecznym krwi rozlewem, by nie ściągnąć zemsty całego rycerstwa szwabskiego i by nie skalać słusznej sprawy gwałtami nadmiernemi. Chłopi przyznali mu słuszność z wyjątkiem jednego, Jakóba Rohrbacha, który ponuro milczał. Był on wodzem dzikiej bandy z doliny Nekkaru. Zażądał, by powierzono mu dozór nad jeńcami. Zgodzono się na to.

KRWAWA ZEMSTA.

Większość chłopstwa mocno spała, znużona walką, rabunkiem, upojona winem wybornem. Jakób samowolnie kazał wyprowadzić jeńców za mur na łąkę. Było ich 24, wszyscy skrępowani. Przy blaskach różowej jutrzenki chłopi uformowali dwa szeregi, ustawione przeciw sobie z najeżonemi dzidami. Na znak Jakóba zagrzmiały trąby, pierwszego rycerza wpędzono w straszny korytarz. Przebity kilkoma ostrzami, wydał krzyk i zalany krwią upadł na trawę. Zbliżała się kolej na hrabiego, który drżąc cały uklęknął przed katami i proponował 30 000 guldenów za puszczenie go na wolność. „Gdybyś dawał nam dwie beczki złota, nic nie pomoże, zginiesz" — była odpowiedź. Chłopstwo delektowało się widokiem przedśmiertnych chwil swego wroga. Hrabia podniósł się, zacisnął zęby, zamknął oczy i skamieniały czekał swego końca. Raptem dobrze znany mu głos, nabrzmiały rozpaczą wdarł się w skłocone tony wrzawy i hałasu. Ujrzał nadbiegającą żonę; trzymała w objęciach dwuletnie dziecko, włosy miała rozpuszczone. Ona, córka cesarza Maksymiljana, też była rzucona do więzienia po spaleniu i splądrowaniu zamku. Przypadała do kolan chłopów i błagała litości dla męża, a oni myśleli: „Aha, tak to teraz, a ileż to razy panowie katowali nas jak psy; wówczas nasze skomlenie nie wzruszało ich. Odrywali bez żałości męża od żony i ojca od dzieci". I oto zagrzmiał znów przeraźliwy głos czarnej wiedźmy; wzruszyła serce Jakóba, poczem kopnęła tarzającą się w prochu hrabinę; jakiś chłop pchnął dzidą i zakrwawił dzieciątko. Hrabia jęknął, chciał się rzucić, lecz trzymały go mocne ręce. Jeden drab wyrwał mu z hełmu czerwone pióro i ozdobił niem swój kapelusz. Inni wrzeszczeli: „Na dzidy go; czy oni mieli dla nas litość?!". Wśród tłumu ukazał się muzykant zamkowy, który przygrywał podczas uczt. Teraz stanął przed byłym panem i jął się naigrawać: „Często bawiłem cię muzyką, a teraz też zagram ci, lecz do całkiem innej zabawy". Zagrzmiały trąby, hrabia mocno pchnięty padł na ostrza. Trupa obdarto z szat. Jakób wnet włożył zbrukany krwią pancerz, przypiął sobie czerwony kołnierz zabitego, stanął przed hrabiną i zapytał: „Co, podobam się Pani"?! Potem rzucono się na hrabinę, obdarto ją z klejnotów i szat i rzucono z dzieciakiem i służebnicą na wóz z gnojem. „W złoconej karecie przybyłaś do nas, na gnoju wynosisz się stąd" — wołano.

Gdy strzeliły pierwsze promienie słońca, straszne dzieło już zostało dokonane. Mieszczaństwo dowiedziało się o tem z przerażeniem, część chłopów była niezadowolona, sumienie ich się wzdrygało. Rycerz Florjan z odrazą wycofał swój oddział i postanowił działać na własną rękę. Zamierzał rozpocząć oblężenie biskupiego miasta Wircburga. W ten sposób jedność chłopska została rozbita, lecz wojna szalała jeszcze długo. Żądano zniesienia wszystkich podatków oprócz jednego — na rzecz państwa; domagano się uznania chłopów za bezpośrednich poddanych cesarza i pozbawienia panów wszelkich praw sądowych. Spokojnych chłopów terorem zmuszano łączyć się z kupami swawolnych; uchylającym się, malowano na drzwiach szubienicę, lub wbijano przed chatą pal. Były to wymowne pogróżki. Nie przepuszczano klasztorom; opatów mordowano, księgi pańszczyźniane i czynszowe wyrzucano i palono. W siedlisku Hohenstaufów, znakomitej dynastji cesarskiej, porozbijano nawet grobowce i rozwiano z wiatrem dostojne prochy; zamek obrabowano i spalono. W nocy ogromne płomienie ogarnęły prastare gniazdo, na wiele mil dookoła rzucając groźne ostrzeżenie, a dla chłopów było to podnietą do dalszych bezeceństw. Sunęła ku nim jednak w postaci groźnej chmury armja rycerska strasznego Truchzessa z Waldburga, który pobił chłopstwo w wielkiej bitwie koło Sztuttgartu i gonił rozbitków, zdobywając jedno miasto po drugiem. Nawet przerażony gród Heilbronn obrany za siedzibę rządu chłopskiego, otworzył swe bramy przed groźnym mścicielem; wodzowie chłopscy, którzy obradowali tam nad lepszem urządzeniem cesarstwa, musieli ratować swe głowy ucieczką. W swym triumfalnym pochodzie Truchzess wszędzie żądał wydania hersztów, których ścinał, wieszał lub palił żywcem, jak to uczynił z Rohrbachem i owym muzykantem zamordowanego hrabiego. Weinsberg za poddanie się chłopom został zamieniony w kupę gruzów i popiołów; żaden dom nie ocalał. W całym kraju szlachta coraz dzielniej stawiała opór. Chłopstwo zaczęło słabnąć; mnożyły się coraz bardziej kradzieże i bójki wśród oblegających Wircburg, tłumnie wracali do wiosek, zmęczeni walką. Wycofał się przyjaciel chłopski rycerz Berlichingen, tylko Florjan Geyer, znany nam, trwał przy nich.

Była noc czerwcowa. Geyer pędził do Wircburga na czarnym, ociekającym pianą rumaku, któremu wskutek szalonego biegu krew sączyła się przez nozdrza. Gdy wjeżdżał na pagórek, uderzyła go olbrzymia łuna, której odblask krwawy ujrzeli jego towarzysze na czarnym pancerzu i hełmie swego wodza. „O Boże, dlaczego tak długo nie mogłem tu przybyć! Dopiero teraz dowiaduję się, że Truchzess jest tak blisko. To płoną wsie koło Koenigshofen. Pędźmy, ani chwili do stracenia!“ Raptem rumak wstrzymał się w galopie i nie można było go ruszyć z miejsca. Jeźdźcy zeszli z koni i ujrzeli na drodze rozpostartych w wyczerpaniu kilku chłopów. „Skąd jesteście.“ Odpowiedziano ledwo dosłyszalnym głosem: „Wszystko przepadło! Jesteśmy pobici. Dzicy rycerze mordują nas“. „Kłamiesz, tchórzu“, wrzasnął Geyer. „Prawdę mówię! Rycerze rozbili armatami nasze obozy z wozów i roztratowali nas wszystkich, rannych dobili. Niektórzy umknęli, a nasi wodzowie wyprzęgli konie i drapnęli pierwsi“. Geyer już nie słuchał i pędził dalej; nad rankiem, okryty potem i kurzem dopadł do Wircburga. Tu nikt nie miał pojęcia o nieszczęściu. Wartownicy obozowi spokojnie się przechadzali z olbrzymiemi halabardami. Geyer kazał budzić dowódców, zwołał radę wojenną, która zdecydowała z większością wojska ruszyć na pomoc rozgromionym towarzyszom. Czterotysięczny oddział wyruszył przez lasy na południe, nie podejrzewając, że wywiadowcy donieśli o tem Truchzessowi, który dał rozkaz otoczenia chłopów. Wywiązała się bitwa, po której tylko kilkuset ocalało i umknęło z Geyerem na czele. Zatrzymali się na wyniosłości, z której wzrok obejmował olbrzymie przestrzenie leśne i mógł zdaleka dostrzec prześladowców. Pod starym dębem spał Geyer, oparty o czarną tarczę; hełm z czarnemi piórami leżał na trawie. Po pięciu dniach zasnął po raz pierwszy, a jednak jęczał od czasu do czasu, widocznie dręczyło go widmo płonącego gniazda rodzinnego, spalonego przez zwycięzców. Gdy się przebudził, podano mu ostatni kawał chleba; posilił się ze wszystkimi; posilili się w milczeniu.

Wkrótce przybyli wywiadowcy i donieśli, że okoliczni chłopi nie chcą myśleć o oporze i że ukazały się gromadki rycerzy Truchzessa. Geyer ogarnął wzrokiem daleką żyzną równinę, oświetlone zachodzącem słońcem wieże miasta Hallu i westchnął. Cała walka poszła na marne. Chłopstwo wpadnie w jeszcze twardszą niewolę. Rycerstwo będzie zagarniało plon jego pól zbożowych i winnic. „Słuchajcie, rzekł chłopom, prześladowcy tropią mię. Opuście mię wnet i szukajcie ratunku na południu"! „O nie, jeśli mamy umrzeć, podzielimy twój los". Już więcej nie padło żadne słowo. Wkładano pancerze, czyniono przygotowania do ostatniej walki. Sokoli wzrok Geyera dostrzegł na podległej polanie leśnej sylwetki kilku jeźdźców.

„Wkrótce będą tu" — oznajmił mocnym głosem. Minuty dłużyły się jak godziny. Dłonie coraz mocniej ściskały rękojeści mieczów. Wreszcie usłyszano odgłosy rozmowy i stąpanie koni. Jeszcze kilka chwil i jazda ukazała się. Jeden z rycerzy krzyknął do pachołków: „Chwytajcie Geyera!". Florjan osłupiał na dźwięk tego głosu, gdyż poznał szwagra. „Daremny trud, nie weźmiesz mię żywcem!" Oparł się plecami. Miecz jego ze świstem ciął powietrze i kładł trupem każdego, kogo dosięgnął. Towarzysze otoczyli dąb i walczyli z dzikim uporem Rycerzy wciąż przybywało. Stanęli szeregiem i najeżyli dzidy. Gdy gasnący krąg płomiennego słońca rzucał na las ostatnie krwawe błyski, wolność chłopska konała razem z Geyerem, któremu szwagier przebił pierś ostrzem swej lancy.

Okrucieństwa panów podczas tej wojny znacznie przewyższały bezeceństwa chłopskie. W samem mieście Kitzingen wykłuto oczy 60 mieszczanom za udział w powstaniu. Wśród nielicznych ludzkich panów wyróżniał się elektor saski, Fryderyk Mądry. Wzywał on panów do umiarkowania; niestety był już złożony śmiertelną chorobą i nie mógł wiele zdziałać. Na łożu śmierci powiedział swemu bratu: „My książęta, postępowaliśmy z chłopami niegodziwie. Nie czyń im krzywdy i nie zapominaj, że przed Bogiem wszyscy jesteśmy ludźmi". Sam był łagodnym i sprawiedliwym opiekunem. Gdy zmarł, zaczęła się szerzyć sława Tomasza Muenzera, który prawił kazania olbrzymim tłumom w kościołach wolnego miasta Muelhausena. — W płomiennych słowach podżegał do dalszej walki z rycerstwem i duchowieństwem i przepowiadał zupełne wyzwolenie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

NOWE KSIĄŻKI.

K. Matusiak. Walki o Ziemię Cieszyńską w l. 1914—1920. — H. G. Wells. Historja Świata. — J. Kucharzewski. Wyzwalanie ludów. — E. A. Lackij. Literatura rosyjska. — R. Dmowski. Świat powojenny i Polska. — Marszałek Petain. Bitwa pod Verdun. — W. Komorowski. Daleki Wschód w międzynarodowej polityce gospodarczej. — J. W. Wołoszynowski. Rok 1863.

Materjały dla przyszłego historyka kultury naszej epoki.

JAPONJA

W Japonji istnieje tak wielka nadprodukcja inteligencji z uniwersyteckiem wykształceniem, że w r. 1928 znalazła się praca zaledwo dla piątej części tych, którzy w tym roku ukończyli uniwersytet w Kijoto. Rząd jest poważnie zaniepokojony rewolucyjnemi nastrojami wśród tej masy bezrobotnych. Japonja, która przed 70 laty była średniowiecznem państwem i wcale nie posiadała inteligencji, obecnie boryka się z chorobą najstarszych narodów — nadmiarem tej części ludności. Gdzież jest „zdrowy postęp"?

D. C. N.